



ILUMINACJA WIEKU MŁODOŚCIĄ ZROSZONEGO

Wojciech Noszczyk

Wojciech Noszczyk
„Iluminacja Wieku Młodością Zroszonego”

Copyright © by Wojciech Noszczyk, 2017
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Jakub Kleczkowski
Korekta: Zuzanna Laskowska, Emilia Ceglarek

ISBN: 978-83-8119-131-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja Demonstracyjna

*Ze wszystkiego, co czytam, lubię to
tylko, co krwią było pisane. Pisz krwią,
a dowiesz się, że krew jest duchem*

F. Nietzsche. *Tako rzecze Zaratustra*

Gdy wzniosę dumnie głowę,
Gdy wstecz odrzucę trwogę,
Gdy krzyknę twardo słowa,
Których jeszcze znieść nie mogę.

Gdy wiarę swą roztrwonię,
Tę durną, anarchiczną,
Z różańca zrzucę dłonie
W mej myśli prozaicznej.

Gdy mgliste zamknę oczy,
Goryczy łzę uronię
I myślą, która broczy,
Zmęczone otrę skronie.

Gdy nic już nie zostanie,
Gdy krwawym snem zatonię,
Wyciągnę mocno ramię...
I los wrogi – przegonię!

Powstawszy z klęczek prężnie,
Za kamień chwycę głuchy.
I walczyć będę mężnie
Prócz zbędnych słów otuchy.

I tkliwość moja spłonie,
Późne uczuć szlochanie.
Płakać sercu zabronię...
Kto przeciw mnie jest – zranię!

I żalu nie zniweczę,
Gdy ów popłochem skona,
Rozrzutnie go ulecę,
A zemsta się dokona.

I tęsknić będę srodze
Za Bogiem, Jego łaską,
Gdy w jadem skalnej drodze
Podążę z złudną maską.

Lecz muszę to uczynić
Z potęgą orła lotu,
By brutalnie zawinić –
Zrozumienia być gotów.

Przebiegle będę drażył
Opokę rumowiska,
Bym w porę późną zdążył
Rzec Prawdę... gdy ból ściska.

Szedłem sobie razu pewnego
Aleją w zmierzchu jesieni.
Pomimo zimna wietrznego,
Surowych, wytartych kamieni;
Deszczu tnącego obficie,
Skowytu kundli po świetle;
Wkroczyłem w zacieniony skwer –
Niczym zbłąkana ryba wietrząca żer.

W parku nad ranem o gorzkiej godzinie,
Przepych niesmaku... i dziwki w latrynie!

Podparłem głowę myślą mych rąk,
Westchnieniem przeszyłem szumu dreszcz
I czystej bieli dobyłem pąk...
Lecz zwiądl już, smętny – to przez ten deszcz!

Zważył się przeto samotnym żarem
Ten, co płonął niegdyś bez tchu.
Strudzony chłodnym gawiedzi gwarem,
Zapadł się w toń szumnego snu.

Na bruk go rzuciłem zimny jak lód,
Ciekący jesienną strugą;
I w głębi serca odczułem chłód
I rozmazałem go... smugą.

Teraz, ocknąwszy rozum ten mój,
Co niegdyś obok stłumiony stał,
Rozkoszy chwilą ocieram znój;
Klnę wszystko...! gdym tkliwością kochał.

W parku nad ranem o gorzkiej godzinie,
Przepych niesmaku... i dziwki w latrynie!

Przetarłem oczy od gęstej mgły.
Idę wciąż dalej – pójdziesz i Ty?

„Romantyczne”, gdyż nie sposób scharakteryzować go odmiennymi słownymi atrybutami. Komu przyszłoby do głowy o tak wczesnej porze błąkać się niby to bez celu po opustoszałym, odrobinę tętniącym pół życiem parku? Ludzie, którzy szanują komfort godnie funkcjonującego organizmu, nie dopuszczają nawet małej, niepozornej myśli o uszczknięciu czegokolwiek z bogactw snu, jaki niewątpliwie popędza biczem pośpiechu korowód marzeń o przedbrzasku rozjuszonego dnia, który właśnie ma zawitać.

A więc, romantyczny (*to jest odpowiednie określenie!*) młodziak siedział na pniu; nad jego głowę ramionami stęsknionymi wyciągał w górę milczące westchnienia stary, nadgryziony zębem czasu dąb.

Ja również – wzorem bohatera obecnej sceny – przykucnąłem sobie, a gdy plecami odczułem stabilne oparcie płożącego dumnie konaru, mogłem bez przeszkód dalej analizować, interpretować i opisywać.

Z początku brakowało mi logiki w jego ekscentrycznym postępowaniu. Ale przecież nie logika dyktuje porywy emocjonalnej uczty.

Dalem spokój rozważaniom moim i począłem czynić li tylko obserwację:

Pochyliwszy się, oparł podbródek na kolanach, które wpierw przysunął ku sobie zręcznym ruchem. Prawą dłońią przetarł oczy, odgarniając bezwładnie opadające na czoło włosy. Gdy skończył, zidentyfikowałem wreszcie jego szlachetne, ascetyczne rysy twarzy, która przyoblekała uwięzioną w ciele majestatyczną duszę sieroty.

Wychudzona – można by nawet rzec: wyględzona – biała cera ogromnie eksponowała ciemne, zapadnięte oczodoły na kościstym, ostrym szkielecie.

Przestraszyłem się. Niepodobna do niczego, co dotychczas klasyfikowałem jako przeciętny wizerunek mężczyzny. Niczym utrudzona pośmiertnymi katuszami zjawa, przybrała nie wiedzieć czemu postać skulonego dzieciaka, tkwiącego w tym pieprzonym utrapieniu.

Chudą, delikatną rękę oparł o powierzchnię trawiastej nierówności. Ruch ten wykonany był z pewnym bląhim, może nieświadomym gestem. Wyglądał jak wyimaginowane pragnienie czegoś, co nieodzownie odzwierciedlało jego wewnętrzny przełom, rozłam, i w końcu emocjonalną syntezę.

Przebiegał po sterczących grzywach odważnie i energicznie, zakreślając łagodny łuk i powracając ramieniem do pierwotnego położenia.

Sprawiał wrażenie osoby głęboko zadumanej. Nie słyszał dobiegających zewsząd dźwięków, wskazujących na pośpieszny żargon ptasich bywalców podjęty przed opuszczeniem rodzinnych gniazd. Nie reagował nawet na to, że raz po raz któryś z pokurczonych liści lądował wprost na jego zwieszanej głowie.

Najwidoczniej miał to wszystko gdzieś. Zamknął bowiem oczy i powtarzał po krótkich przerwach ćwiczenie, kompozycję wyuczonych ruchów niczym rutynową powinność. A jednak w tym jego bezsensownym, ekscentrycznym trwaniu przewijał się pewien pominięty przeze mnie nadrzędny motyw.

Otóż trzeba nam wiedzieć o ogromnym przywiązaniu emocjonalnym chłopaka do pewnej materii, konsystencji, wyrobu, do... ulotnej niewiasty. Owo uczucie, będące absolutnym namaszczeniem młodzieńczego ducha olejem długowłosej nimfy, rozpalalo go bezlitosnym żarem. Był chorobliwie niešťczęśliwym niebytem. Cokolwiek miało się wydarzyć, on,

pogrążywszy w próżnych nadziejach osobiste marzenia, z każdą chwilą leciał w dół równie pustego jak to wszystko zwodniczego traktu kłamliwych suk.

Zignorował otoczenie do granic agresywnej pogardy. Odczuwał wyłącznie szeroko pojęty moralno-estetyczny aspekt współczucia opartego na podwalinach skruszonych przez jego heroiczną, wytrwałą miłość – chuć.

„O, mój biedny meszuge. Dlaczego wystawiasz policzek własnego honoru, by uderzyła w niego z dzikim, rozjuszonym impetem potomkini abderytki po kądzieli. Nic mi nie odpowiadasz. Tylko milczysz i ból pielęgnujesz. Ból, jakiego nigdy nie zapomnisz”.

Kiedy niespodziewanie wypowiedziałem w myśli te oto słowa, na policzkach chłopca zaczęły pojawiać się pobłyskujące strużki czegoś na kształt nabrzmiąłych kropelek, spływających po bruzdach mimicznych na koniec podbródka.

Po chwili zaczęły spadać prostopadle regularnym tempem, ażeby na udach rozbić się o materiał kiepskiej jakości, który przynależał do niego.

„O, czyżbyś ronił własne, puste łzy? Jakim prawem opuszczasz ręce? Nie zamierzasz powstać, by splunąć w jej szkaradne oblicze? Najwidoczniej – nie!

Uchylże rąbka tajemnicy i odpowiedz: po coś tu przyszedł, głupcze?!”

W odwiecznym świetle, w którym postać młodzieńca tonęła osobistą naiwnością, żalił się nie wiemy komu, dlaczego i na kogo.

Z początku miałem dosyć czułych, śmiesznych utyskiwań. Im dłużej jednak słuchałem, tym bardziej uświadamiałem sobie smutny bezsens nieszczęśliwego losu zakochanej duszy. Tak już widocznie musi pozostać. Nie sposób zliczyć bolesnych ciosów zadawanych okrutnie przez skamieniałego skrytobójcę w spódnicy. Nie sposób też zrozumieć prostych intencji kierujących wyrefinowanie bestialskim mordem sumienia.

Trzeba tylko dumnie kamuflować własne rozszarpane piętno, by nikt nie mógł zarzucić nam prostackiego obycia. Oto istotne sedno ułomnej emocjonalności ludzkiej.

Wtem, rzecz niesłychanie prorocza: gdy usilnym błaganiem w niebo spoglądał mistyczne, tuż obok wyrósł diamentowym blaskiem niewinny... kwiat symbol, który z każdą chwilą lamentem przepelnionej ciszy rozwijał pąk swój wspaniały; bielą śnieżnej zorzy płatki otoczone, rozchylały się łagodnym spojrzeniem na chłopca, jakby chciały go oczarować pięknem rozkosznym.

Lecz on ich nie dostrzegął, pochłonięty gorączkowym rozpaczaniem łzawym, zasluchany w serca bicie wspominał, prosił, błagał, szlochał, jęczał, wzdychał... aż, zmęczony ustawicznym nękaniami nieuchwytnego Adresata, odetchnął głębokim, wy-czerpanym snem – kładąc się na liściastym posłaniu, na trawiastej polanie, której i ja byłem ongiś bywalcem gorliwym...

O, Burzo uczucia, gromie niebosiężny miłości, który iluminujesz jego ducha, a wewnątrz radość życia zwiastujesz, wypełnij w nim nieśmiertelność – jak mnie niegdyś. Przemień nieśmiały szep w Zacheusza rzewne umiłowanie. Wydobędziesz z niego

niezglębioną bezsilność, niczym srebrzyście białą różę; otoczysz ją karmazynem westchnień – jak mnie wtenczas. Zwilżysz jej płatki balsamicznym bezkresem nadziei, by w porywczym do obłędu zawierzeniu... porzucić chorobliwego bękarta w czeluściach mitycznego Tartaru.

Oto jesteś znamieniem wiary naznaczona, namiętna, płochliwa, czasem rozmarzona.

Platonicznym pałaniem kreślisz empirię sumienia, jakie w Tobie powstało, by stłumić wspomnienia.

Pamiętam, gdy oczom śmierci naprzeciw stawałem; jak durne dziecię przed witryny czarem pragnąłem, co za oknem tkwiło, ująć w dłonie, skosztować słodkich łakoci... i w cukierni lustrzanej taflī ujrzeć twarz swą wesołą, umorusaną lukrem, prostoduszną, szczerą; aby móc rzec: dobrze mi tu, niczego więcej, nikogo prócz... Ciebie.

Za szkłem kurz, sklepik nie istnieje, a ja, wpatrując się w refleks, szukam twarzy, której w nim już nie ma... biedny, osamotniony chłopiec.

Dość!

Koniec Wersji Demonstracyjnej